ROZMAITOŚCI.

Dnia 16. Września | Nr 37. | Roku 1843.

OBRAZY PARYŻA.

(Dokończenie.)

Piękna, gustownie urządzona wila margrabiego o kilka mil oddalona od Paryża, była dziełem kaprysu młodéj margrabiny, która pragnęła mieć schronienie wiejskie, aby wytchnąć po hałaśliwych rozrywkach Paryża. Właśnieco otrzymał margrabia wiadomość, że wszystko czeka na przyjęcie obojga państwa w tém nowém zaciszu.

Młoda, żywa małżonka nie mogła ukryć życzenia, że pragnie jak najprędzéj zwidzić to ustronie, ten mały, rozkoszny raj w blizkości Paryża; a że każde jéj życzenie stary margrabia uprzedzał, wysłał więc gońca do burgrabiego téj wili z wiadomością, że jutro przybędzie z gośćmi do zamku. Młody Anglik był téj scenie obecny, i jego więc zaprosił stary margrabia, który nie wiedział o żadnych między tym cudzoziemcem a swoją małżonką stosunkach. Anglik przyjął zaproszenie, lecz zaledwie się oddalił z hotelu St. C., Bianka stanęła mu na myśli; z dawnémi wspomnieniami staczał długą walkę, nakoniec zwyciężyła miłość ku margrabinie; już ta myśl sama, że z piękną Aureliją będzie przez dni kilka pod jednym dachem, wygluzowała wszystkie zarzuty sumienia.

Ale jakże zawiadomić ją o swoim zamiarze? Nie chciał ją zostawić w dręczącéj niepewności, i dla tego zaledwie przejechał na drugi brzeg Sekwany, rozkazuje zajechać do hotelu przy ulicy Richelieu, i tam pisze ów list, który służący w tak późnéj dobie do hotelu na placu Vendôme przyniósł, i tu zamyśla noc przepędzić, aby nie widzieć łez Bianki. — Ale właśnie wtedy, gdy przejeżdzając Sekwanę, był już na środku mostu, płoszą się czegoś konie i pędzą dziko naprzód co im sił stało. Późniéj dopiéro, gdy już stanął w hotelu przy ulicy Richelieu, i ten nieszczęsny list odsyłał, przyszło mu na myśl zapytać woźnicę, co było przyczyną tak wielkiego popłochu koni, które zwykle spokojnie chodziły.

»Konie usłyszały, że coś z mostu w wodę upadło«, odrzekł woźnica, »a one mają to do siebie, iż instynktem śmierć przeczuwają; boćto nie rzadki wypadek, że szaleni Francuzi w Sekwanie się topią!«

Milord złajał go za to, że mu tego domysłu piérwéj nie udzielił, poczém zabrał się do spoczynku zadowolony swoją przebiegłością, że się nie naraził na widok łez Bianki. O, gdyby on był przeczuł przyczynę, dla czego się konie spłoszyły, jużby się był jéj łez obawiać nie miał potrzeby!

Dzień zawitał jasny, pogodny ale zimny. Jeszcze przed południem zebrało się całe towarzystwo w hotelu margrabiego, i Anglik nie omieszkał się stawić; już wszystko było w pogotowiu, piękna margrabina w bogate ubrana futra, czekała niecierpliwie chwili, w któréj powozy zajadą. Czekano jeszcze tylko na szanownego stryja margrabiego, barona Dumas; lecz gdy tenże dał znać, że ważna sprawa zatrzymuje go w pałacu sądu sprawiedliwości, i że dopiéro wieczorem przybędzie, nie zwlékano już czasu i ruszono w drogę.

Dość wcześnie zajechano do wili, resztę dnia spędzono na oglądaniu budynków, na zwidzaniu pokojów i na wesołéj rozmowie. Gdy wieczór nadszedł, i gdy się całe towarzystwo zebrało w pokoju gotowalnianym margrabiny, zabrała głos pani de Valerie, przyganiając gotowalni: że jéj brakuje do ozdoby pięknego antyku, jakiemi angielskie

damy zdobią swoje gotowalnie, a jakich teraz i w Paryżu dostać nie było można. Grono mężczyzn zapytane o radę, było tegoż samego zdania. Uradowany Anglik, że się czémeś przysłużyć może, oświadczył, iż ma właśnie przypadkiem u siebie taki antyk-kamień, i że prosi, aby mu wolno było przyczynić się do ozdoby jéj gotowalni. Jakoż natychmiast wysłał w téj myśli gońca do Paryża.

Nadjechał nareszcie baron Dumas, drząc od zimna usiadł przed kominkiem na szezląngu; całe towarzystwo otoczyło go zadając mu pytania: czy się co nowego w ich niebytności nie wydarzyło w Paryżu. Baron Dumas ogrzawszy się cokolwiek, bawił towarzystwo opowiadaniem różnych wydarzeń, których był świadkiem przed sądowemi kratkami. Nagle zmienił ton żartobliwy i rzekł poważnym głosem: »Dziś znaleziono w Sekwanie kobiétę przecudnéj piękności; jak się domyślają, miała sobie sama odebrać życie; zawieziono ją do *morgue*.

»Zapewneto jaka zwyczajna desperatka, *trepas de griselle?*« rzekła pani de Valerie pogardliwym tonem.

»Przeciwnie, suknie na niéj miały być oznaczające dostatek, a tyle mi nagadano o jéj piękności, która nawet z martwego oblicza nie ustąpiła, że gdyby nie tak miłe mi towarzystwo wasze, byłbym się osobiście udał na *Quai-Notre-Dame*, aby naocznie sprawdzić to, co o niéj słyszałem. Nieszczęśliwa istota! Byłato zapewne serce trawiąca zgryzota, która ją natchnęła tą rozpaczliwą myślą: śród takich mrozów, szukać śmierci topielca!« To mówiąc, wstrząsł się od dreszczy na całém ciele, chociaż siedział ciepło przed kominkiem, otoczony wszystkiémi wygody.

»Zaiste — już sam pomysł przejmuje trwogą«, odezwał się młody Anglik. Ale — przypominam sobie — możeto będzie ta sama, przed którą się moje konie na moście spłoszyły, gdym wracał z hotelu margrabiego.«

»Być to może«, odrzekł baron Dumas, »gdyż w téj chwili nie masz żadnego trupa w *morgue,* prócz téj dziéwczyny; bo też mało kto będzie miał odwagi, taką śmiercią w takiéj porze ginąć.«

»*Affaire de coeur*? Nieprawdaż baronie?« szepnęła małego wzrostu milucbna hrabina St. Angel.

»Ja się założę o tysiąc franków«, ozwał się jéj małżonek.

»Daj hrabio pokój zakładom przy tak smutnym, zatrważającym wypadku«, przerwał mu młody Anglik. »Nie maszże baronie (tu zwrócił się ku panu Dumas), bliższych o téj nieszczęśliwéj istocie wiadomości?«

»Same tylko domysły. Niektórzy chcą w niéj widziéć cudzoziemkę, która dopiéro od kilku miesięcy Paryż zamieszkała, ale resztę szczegółów jéj życia, kryje dotąd tajemnica.«

Śród téj rozmowy dano znać do stołu, i dopiéro po sutéj wieczerzy wszczął znowu rozmowę Anglik, na którym opowiadanie barona, widocznie wielkie sprawiło wrażenie.

»Więc sam nie widziałeś baronie téj samobójczyni?« zapytał z niecierpliwością.

»Nie miałem czasu, ale mój przyjaciel, kawaler Plané, opisał mi ją dokładnie. Trafną uczyniła niedawno uwagę hrabina: że miłośna przygoda natchnęła ją myślą samobójczą, gdyż za jéj gorsem znaleziono białą, srebrną nitką haftowaną rękawiczkę, która nie zdawała się być z jéj ręki.«

Na te słowa Anglik jakby piorunem rażony, z wyrazem niemego przestrachu, padł bezwładnie w krzesło, utopiwszy mimowolnie wzrok w twarzy margrabiny. Nikt z towarzystwa nie postrzegł jego wzruszenia, gdyż wszyscy byli zajęci baronem Dumas.

»Ta nieszczęśliwa — moje panie«, wiódł daléj opowiadanie swoje stryj margrabiego — »gdy ją z toni wydobyto, miała na sobie czarną, aksamitną suknię, na przedzie w samym stanie wielkim smaragdem spiętą, na szyi wisiała miniatura témi saméimi wyłożona kamieniami.....«

Gdy baron tych słów domawiał, Anglik wydaje krzyk okropny z głębi duszy dobyty, zrywa się z krzesła jak błyskawica, wylatuje z pokoju i znika gościom z oczu.

Przyleciawszy na dziedziniec, spotyka swojego gońca, którego wysłał był po ozdóbkę toaletową dla margrabiny, wyrywa mu z ręki gemmę, ciska nią o kamienie, i tłucze w najmniejsze bryzgi. Chce drżącémi usty przemówić i zapytać się — lecz chociaż piers jego gwałtownie pracuje, usta odmawiają mu swojéj posługi, niemieje z prze-

strachu; sługa uprzedza jego słowa i mówi: »Straszliwa prawda milordzie, nasza milady.....« — Rozdzierający jęk głuszy dalsze słowa sługi; z wybladłą twarzą, z obłąkaném okiem dosiada konia, z którego właśnieco zsiadł był goniec, i nim jeszcze towarzystwo zdołało zejść na dziedziniec, dowiedzieć się o przyczynie téj nagłéj zmiany, już pognał w dzikim galopie drogą do Paryża.

Towarzystwo osłupiało z przestrachu, gdy się dowiedziało: że dama, którą Anglik czule kochał i która z nim z Włoch przybyła, nagle zniknęła. — Margrabina zachwiała się i zbladła. Byłażto jéj rękawiczka, którą na piersi nieszczęśliwéj topielczyni znaleziono? Chciałażby ta nieszczęśliwa tym znakiem ją zgubić? Szczęściem, że towarzystwo zajęte różnémi myślami, które ten wypadek wywołał, nie uważało jéj wzruszenia; nareszcie wszyscy udali się na spoczynek.

Anglik gnany rozpaczą, pędzi tymczasem z szaloną wściekłością; koń robi bokami, w pęd się z całéj siły rozpiéra; krwią i pianą znaczy ślady swojéj drogi; lecz naostatku jeździec wycieńczony na siłach, dostawszy zawrotu głowy, spada z konia i o ziemię uderza. Cudem prawie do zmysłów przyszedłszy, powstaje, a widząc, że koń się wysilił, zostawia go i goni pieszo z odkrytą głową, śród tęgiego mrozu w ubiorze lekkim salonowym; przy rogatce wita go śmiéch: »Zapewnie wygrałeś zakład milordzie?« On nic nie słyszy, nic nie odpowiada, ciska sztukę złota, aby go wpuszczono do miasta, i szarpany furyją wyrzutów leci tam, gdzie złożono śmiertelne zwłoki Bianki. Sumienie wypełzło z ukrycia i zaczęło z nim wieść taką rozmowę: »Ta, która cię więcéj niż swój honor kochała, która z całém uczuciem kobiéty włoskiego nieba uszczęśliwiała cię swoją miłością, ta oddała się teraz dobrowolnie śmierci. Tyś jéj mordercą! Twojato zdrada ją zabiła. Biédna, nieszczęśliwa Bianko! Nie w kole znajomych, śród łez i spółczucia twoich przyjaciół, zgasła gwiazda twego życia, ale w zimném łonie wodnych odmętów zagrzebałaś twoję rozpacz i twoje gorące serce!« Jak chór piekielnych duchów towarzyszyły mu żal i rozpacz do domu, gdzie śmiercią gwałtowną zmarłych, wystawiano na widok publiczny. Szaleństwo wichrzyło w jego głowie, okropna zgryzota w jego sercu! Przebiegając ulice, zdawało mu się, że go piekielnym tańcem okrążają widma, że domy walą się na jego głowę, że z każdego zakąta ulicy, wygląda blady cień Bianki!

Dzień już się dobrze rozprzestrzenił na widnokręgu, gdy stanął u celu. Straż dozwoliła mu wstępu. Anglik bardziéj do nocnego widma niż człowieka podobny, chwiejącym krokiem wszedł do ciasnéj izdebki, do trupiarni. Okropny widok jawił się oczom jego! Na ławce leżało martwe, od zimna i śmierci skośniałe, grubą płachtą owinięte ciało Bianki. Twarz jéj nie była zakryta, nawet w objęciu śmierci nie utraciła śladów piękności; jéj długie krucze w dół spadające włosy zaślubiały się z ziemią, która miała ją wkrótce przyjąć nazawsze w swoje niszczące ramiona! Nad jéj głową wisiał płaszcz i czarna aksamitna suknia, tuż przy niéj na desce leżała spinka drogiémi wysadzana kamieniami, pierścień dyjamentowy, znak niezłomnéj wiary kochanka, i miniatura również drogiémi ozdobiona klejnoty. Kochanek Bianki spojrzawszy na dzieło swojéj wiarołomności, uczuł wszystkie sztylety, którémi rani wściekła boleść żalu; raz jeszcze przeżył w myśli te słodkie pod włoskiém niebem przy boku Bianki spędzone chwile, na widok portretu stanął mu w myśli ów malarz, który wdzięki jego kochanki na płótno przenosił, grobowym głosem jakby z pod ziemi brzmiała mu w uszach przysięga, którą jéj wtedy szeptał! Owładnięty nawałem krzyżujących się myśli, wylęknion potworami, które w wklęsłem źwierciedle sumienia jego pełzały, padł bez zmysłów na ziemię.«

*

Ciało Bianki złożono na cmentarzu *Pere la Chaise;* prosty kamień z wyrytémi głoskami *B. S.* był całym grobowcem.

We dwa lata stanął w tém miejscu ozdobniejszy pomnik, a obok poprzedniczych głosek *B. S.* wyryto głoski *C. L.*; pomiędzy témi dwoma napisami, stało drzewo, w które piorun bije, a pod niém te słowa: »*Tutto è perduto!*«

O tymże samym czasie umarł w Madeirze Anglik na gardlane suchoty.

---

*

SCRIBE.

W jednéj dzielnicy miasta, w pośród okręgu, gdzie Molière ujrzał piérwsze światło dzienne, przy ulicy, na któréj się Beranger urodził, w samym środku ulicy świętego Dyjonizego w Paryżu, widać teraz cukiernię pod godłem: »Czarnéj kotki.« W roku 1791 był w témże miejscu magazyn jedwabnych towarów, i w tymto domu dnia 25go grudnia tegoż roku przyszło na świat dziécię, które matka chowała z najczulszą troskliwością, a któremu ojciec zostawił skromny w pocie czoła kupiectwem zarobiony mająteczek. Dziécięciem tém był: Augustyn Eugenijusz Scribe.

Później mieszkało to dziécię przy ulicy Saint Honoré, obok kościoła św. Rocha. Tu pobiérało mimo wiedzy, piérwsze początki swéj, późniejszémi czasy, ulubionéj teoryi: z małych przyczyn wielkie wyprowadzać skutki; bo mały Eugenijuz przypatrywał się z okna na rękach matki, jak Bonaparte, dowódca wójsk narodowego konwentu, dzielnice Paryża kartaczami burzył. Wiadomo, że ogień kartaczowy na d. 12. *vendemiaire* rzucił piérwsze ziarno, z którego w kolei czasu, urosło cesarstwo.

Bonaparte nie mając po zwycięztwie pod Tulonem żadnego zajęcia, pozbawiony wszelkich zasiłków, chciał się udać do Konstantynopola i ofiarować sułtanowi swoje usługi, ale dla braku tysiąca franków, nie mógł swojego zamiaru przywieść do skutku. Otóż ta mała, nikła przeszkoda, była przynajmniéj według systematu Scribego przyczyną: że się Bonaparte zatrzymał w Paryżu i że w owym dniu to niebezpieczne spełnił polecenie, którego się podjąć nikt nie miał odwagi. Dziwić się prawdziwie należy, dla czego do téj chwili Scribe nie napisał komedyi pod tytułem: *Bilet na tysiąc franków,* wszakże *Śklanka wody* ma takież samo dno filozoficzne i na takiéjże saméj oparta loice.

Scribe zwidzając szkoły gimnazyjalne z dość chlubnym postępem, w wolnych dniach od nauki nie opuszczał nigdy małych teatrów na bulwarach, gdzie się téż w nagrodę żmudnych nad matematyką i klasykami mozołów, dowoli i z serca naśmiał i nacieszył. W r. 1811 ukończył szkoły gymnazyjalne; już wtedy zamiast uczonych rozpraw profesorów, pisywał w szkole wesołe piosnki, rzucał szkice do niejednéj krotochwili. W lat cztéry potém wpisano go jako słuchacza praw w paryzkiéj akademii; czasami téż pojawiał się na salach prawniczego wydziału, lecz już wtedy zajmowały go więcéj krotochwile; jakoż w téj epoce ułożył wraz z towarzyszem szkolnym Germain Delavigne (bratem poety Kazimiérza Delavigne) pięć wodewilów. Byłyto piérwsze podjazdy owéj lekkiéj piechoty, która się potém w całéj masie po wszystkich teatrach paryzkich obozem rozłożyć miała. Publiczność w teatrze wodewilów przy ulicy *de Chartres* poraziła na głowę te piérwsze ochotnicze czaty, lecz ich jenerał nie brał sobie tego do serca, czuł on w sobie iskrę napoleońskiego ducha; zwodzić boje wielkiémi zastępami. Oprócz tego piérwsze twory jego, byłyto czaty na stracenie wysłane, byłyto podrzutki bez imienia ojca, bo ich autor nazywał się wtedy Eugenijusz i nic więcéj. Mając około trzech tysięcy franków rocznego dochodu, nie troszczył się bynajmniéj ani o klęskę swoich ochotników, ani o niszczace mrozy sybirskie, które całe pułki francuzkie zmiatały; najpiérwszém jego staraniem było, aby się najmniéj natężać nad pandektami, ale za to wesołe, hulaszcze prowadzić życie, i rwać kwiaty uciechy, gdziekolwiek one kwitły. W kursie letnim, przy pięknéj pogodzie, obiérał zwykle drogę do akademii przez dolinę Montmorency, tak mu to śpieszno do szkoły było.

Dupin, sławny adwokat, którego imię już wtedy głośném się stawało, miéwał podówczas bardzo zwidzane prelekcyje prywatne, gdzie także początkowych prawników przez praktyczne zadania do zawodu prawniczego przysposabiał. Bonnet, opiekun Scribego, któremu rodzice w tym czasie byli pomarli, oddał pupila swego, po za którym złote wiérzby rosły, na naukę do tegoż adwokata, jako do przyjaciela i towarzysza swego, w téj nadziei, że tenże podoła przecież zaszczepić w nim zamiłowanie do kodeksu i pandektów. Ale nadaremna praca. Nie przyjęła się nauka; nieraz sam pan nauczyciel musiał spuszczać z swojéj powagi i śmiać się serdecznie z komicznych konceptów pana kandydata. Jakim przyszedł, takim odszedł pan Scribe z téj mądréj szkoły. We dwadzieścia lat potém zeszli się obaj razem w akademii, i z-iścili dawną przypowieść: że do Rzymu wszystkiémi drogami zajść można.

Gdy się to dzieje, upada cesarstwo; Napoleon dla odpoczynku zamieszkiwa wyspę Elbę; znudziwszy się, powraca, ale zwalczony losami, płynie daléj—płynie na wyspę św. Heleny. Na to wszystko nie zwraca Scribe uwagi, to wszystko nic go nie obchodzi. Dopiéro wtedy, gdy Kozacy rozłożyli się po bulwarach Paryża, gdy Ney i Labedoyère zostali rozstrzélani, gdy drugi pokój paryzki podpisano, stwarza Scribe w towarzystwie pana Poirson, niejako ówczasowemi wypadkami zniewolony, krotochwilę: *Jedna noc gwardyi narodowéj* i daje jéj, jako prawemu dziécięciu, nazwisko swoje. Byłto widocznie

przez okoliczności wywołany sceniczny pojaw, ale jakże z tak wielkich przyczyn nikły skutek!

Krotochwilę tę przyjęto dobrze, i zasłużyła téż na to żywym, płynnym dyjalogiem, oddychającym wesołością, jak téż sytuacyjami, i dowcipem uznamienionym lekką komicznością. Podobne sceniczne utwory były w ówczas na czasie; za świéże były jeszcze ciężkie straty, trzeba je było wesołością przygłuszyć, bolesne rany i wspomnienia zatrzéć! Jakoż Scribe zachęcony umizgiem publicznéj opinii, zaczął wytrząsać z rękawa jeden utwor po drugim: *Hrabia Ory, Odwidziny w Bedlam, Suplikant, Lunatyczka, Dwaj guwernerowie* i t. d. i t. d., szły jak duchy w *Mekbecie* jeden po drugim. Teraz można do 150 jego dzieł naliczyć. Muza Scribego jest nieraz gminną, często nie wié sama, czego chce, ale zawsze jest czérstwa, rumiana, gadatliwa i wesoła. Oprócz tego znajdzie się drugie sto sztuk pod jego imieniem, których okrutny ojciec za swoje dzieci uznać nie chce. Z tém wszystkiém dziwić się należy jego nadzwyczajnéj płodności.

Jestto autor nagabań chwilowych, pisze, gdy do niego przystąpi. On nie płaci publiczności grubą monetą i nie lubi godła bajki: *Jeden, dwa—ale lwa!*

DO WIATRU.

Szumiéj wietrze! ja czasem lubię twój szum głośny,
Choć inni powiadają, że jesteś nieznośny;
We mnie twój jęk, niejaki rodzaj czucia budzi,
I przyznam, że nie jesteś zimniejszym od ludzi.
Gdy nic mogąc oddalić przykrych myśli tłoku,
Ja przed tobą na moje użalam się losy,
Wdzięcznam ci, gdy w przelocie osuszysz łzę w oku,
Lub uniesiesz westchnienie pod same niebiosy.
O! gdybyś ty mnie zechciał przyjąć na twe skrzydła
I uniósł gdzie wysoko—choćby za obłoki,
By mi z oczów zniknęły te ziemskie mamidła!
Bo ten świat mały dla mnie, chociaż tak szeroki.
Ale czegoż się troszczę? wszak niedługą chwilę
Moje smutne istnienie będzie tu przykute,
A gdy zasnę snem wiecznym, ty na méj mogile
Zanuć mi pieśń żałobną na twą dziką nutę!

T. P. z K.

WIECZÓR MYŚLIWSKI W ŻARNOWCU.*)

Mroźny wiatr jesienny pożółkłe roznosił liście, słońce już zachodziło, a ostatnie dnia promienie niechętnie ustępować się zdawały nocnéj pomroce. Rolnik powracał do chaty, z pól pędzono trzody, w poblizkim borze kiedy niekiedy gon psów odzywał się jeszcze, kiedy niekiedy trąbę myśliwską słyszano. Kilkunastu myśliwych z lasu ku wsi konno jechało. »Stanisławie! co za nieszczęśliwy dzień mieliśmy!« rzecze młody Kazimiérz, »tyś chybił do wilka, jam lisa prześlepił!... ale bo téż nie sławny z ciebie strzelec!« —»Zgadłeś«, odpowio Stanisław, »ani zagorzały, ani wielce wprawny ze mnie myśliwy: jeżeli poluję w jesieni, to dla zdrowia, to dla towarzystwa.« — »*Horrendum!*« zawołał stary chorąży, »popsuła się młodzież!.... zmiéniły się czasy!.... Świętéj pamięci pan starosta, to mi był myśliwy! to mi były polowania!... prawdziwa wojna lisia. Pięćdziesiąt swor gończych, dwadzieścia smyczy chartów, pokurcze, sieci, parkany, dwieście strzelców, parę tysięcy obławy: ale też sto łosi, sarn kilkadziesiąt, kopa lisów, a zajęcy bez liku.«—»Prawda! szczéra prawda!« mówi podkomorzy poprawiając wąsa, »takeśmy polowali, ze ś. p. panem starostą, ojcem wpana, mości Stanisławie! A cóż dopiéro co było przed nami?! Nieraz mi rodzic mój opowiadał... kiedy pan hetman Branicki, wielkie łowy wyprawiał w Tykocińskich lasach... byłoto *Anno milesimo*... ale opowiém wam to moi panowie! skoro do domu zajedziemy; bo teraz mi coś zimno i głodno. Jeżeli dzisiejsze polowania bardzo się zmieniły, będę się przynajmniéj starał przyjąć was w moim domu jak się należy, z otwartą gościnnością i ze szczérem sercem.«

»Nie tak już jak było!« odezwie się Stanisław: »mniéj huczno, mniéj zabawno, mniéj mamy zbytków, mniéj czém zbytkować, a może i lepiéj!« —»Piękne mi lepiéj!« przerwie chorąży: »nieszczęsna moda zmieniła ojców zwyczaje..... dawniéj po cholewach poznać można było pana; dzisiaj wszystko pstro, wszystko kuso.«—»Chwała Bogu! jużeśmy w domu!« zawołał podkomorzy wjeżdżając w dziedziniec Żarnowca, pięknéj majętności, którą dziad jego po wyprawie pod Wiedeń od króla Jana otrzymał.

Rżenie koni w stajniach pałacowych, wycie psów w poblizkiéj psiarni, przerywały wieczorną ciszę. Wielkie ognie w kuchniach jaskrawe rzucając światło na obozowy dziedziniec, zapowiadały liczne zgromadzenie gości. Przedpokój napełniony był ludźmi. Strzelcy, dojeżdżacze, szczwacze, porozwalani po łowach: jedni głośném chrapaniem, drudzy wychwalaniem swych służalców, ci opowiadaniem odważnego szczucia, tamci wybornego psów gonu, gwarem napełniali sklepienia. — W bawialnym pokoju na kominie wielki ogień się palił. Po dobréj wieczerzy, w około zasiadła młodzież, a grzejąc przeziębnięte członki, z lulką w ręku, każden z przyjemnością odpoczywał po trudach i znojach. — W zielonéj czamarze podbitéj rysiami, siedział

*) Wyimek z *Biblijoteki warszawskiéj*.

pomiędzy niémi podkomorzy Orzeszko, ochoczy gospodarz, a lubo siódmy krzyżyk już przeżył, a krymka czerwona białe kryła włosy, oko żywe, twarz wielka i wesoła pomiędzy nawet młodemi, przypominać się zdawały—i jam też był młody! Pod oknami chorąży grał w arcaby z księdzem kapelanem: zapleśniała butelka po węgrzynie próżna stała na stole, a oni spoglądali czasami, jak prędko drugą przyniosą.

Deputat Strzałkowski spał smaczno na kanapie. »Mówcie co chcecie moi panowie!« rzekł podkomorzy, »ale polowanie dzisiejsze nie źle nam się udało: siedm wilków, dziesięć lisów, ośmnaście zajęcy, dalipan! to gracko!«

»Jednak drugie tyle uciekło«, przerwie zachrzypionym głosem chorąży. — »Byłaby nawet stara wilczyca od chartów Strzałkowskiego uciekła.« odezwie się Kazimierz, »gdyby nie strzał kapitana Sulisława.« — »Co? co mówisz?« nagle przebudzony krzyknął Strzałkowski, »już Scinaj i Chwatka wilka rozciągnęli, jużem ją był kordelasem przebił, kiedy pan Sulisław kurki od fuzyi odwodził.« — »Panie Strzałkowski!« odpowie Sulisław, już po polowaniu, a ty jeszcze polujesz: przypomnij sobie! żeś wczoraj kordelas połamał, czémżeś dzisiaj wilczycę dobił? chyba pochwą?...« — »Buławką dobiłem!« z gniewem zawołał Strzałkowski. — »Czy kordelasem, czy buławką«, odezwie się podkomorzy, »dosyć na tém, że nie uszła wilczyca! Ale moi panowie! nim się udamy do spoczynku, trzebaby się czém rozerwać: możebyśmy poszli w kwindecza albo w ćwika?« — »Nie!... nie!« hurmem zawołała młodzież, »panie podkomorzy! miałeś nam opisać łowy Branickiego hetmana, prosimy o nie, słuchajmy!« — »Zgoda! kiedy tego żądacie.« Chorąży i kapelan skończywszy partyją i drugą butelkę węgrzyna, zbliżyli się do kompanii, Strzałkowski spać poszedł, a podkomorzy Orzeszko nałożywszy lulkę, témi słowy mówić począł: »Byłoto w roku 1760: Klemens Branicki kasztelan krakowski, wielki hetman koronny, dziedzic Białegostoku, obchodził dzień imienin swojéj małżonki. Mąż okryty sławą, w narodzie piérwsze piastujący urzędy, już podeszłego wieku, od lat kilku ożeniwszy się z młodą i piękną Elżbiétą Poniatowską, siostrą późniéj nam panującego Stanisława Augusta, biesiadami, balami, huczną zabawą i wielkim splendorem, rozrywał młodą żonę; chciał zapełnić ten długi lat szereg, któren go od niéj oddzielał. — August III. na ten dzień oczekiwany, nie mogąc dla nagłéj niemocy z Warszawy do Białegostoku zjechać, na swojém miejscu królewiczów Albrechta i Klemensa przysłał. Królewicz Karol, świeżo obrany księciem Kurlandyi, w powrocie z księztwa swojego do Warszawy, dążąc na zapowiedzianą uroczystość, w Białymstoku z bracmi swojémi się zjechał.

Już od dni kilku z różnych stron Polski i Litwy zaproszeni goście zjeżdżać się zaczęli, już pałac białostocki i poblizkie gospody przepełnionémi były: kto późniéj przyjechał, w okolicznych wsiach pomieścić się musiał. Już Krasiński i Wołłowicz biskupi, piérwszy kamieniecki a drugi łucki, pana i panią Krakowską w Białymstoku powitali. Małachowski, kanclérz wielki koronny, niedawno powrotem z Drezna do Warszawy przybyły; późniéj strażnik litewski z Jéjmością swoją wojewodzianką poznańską Potocką, pani Mniszchowa, marszałkowa nadworna, pani Chlebowska, kasztelanowa kaliska z córkami słynącémi urodą i paryzkiém wychowaniem, Józef Pac, kasztelan żmudzki z Jéjmością swoją Wołłowiczówną z domu; hrabia Brühl, starosta warszawski z zaledwo zaślubioną małżonką swoją wojewodzianką kijowską Potocką; Sapieha, wojewoda mścisławski; Łoś, kasztelan lwowski, Ankwicz, stolnik krakowski; Rozwadowski, kasztelan halicki; Czacki, podczaszy koronny; Sołłohub, wojewoda witebski; książę Czartoryski, łowczy wielki koronny, z Korca; Potocki, starosta trembowelski; Karp Cywun ejragolski; Lubomierski, podstoli: każden z nich i huczno i dworno. Przybył także w przejeździe z Paryża do Petersburga baron de Breteuil, minister pełnomocny francuzki przy dworze rossyjskim, wraz z żoną i familiją.

Zabawy i festyny, jakich podówczas Białystok był świadkiem, i których pamięć aż do naszych czasów doszła, wielkiém polowaniem rozpocząć się miały. Już od kilku tygodni w obszérnych włościach do pana hetmana należących, przygotowania poczyniono. Już w puszczach słotowackich, bielskich, brońskich, tykocińskich, zwiérz wytropiony, osaczony, na śmierć, że tak powiém, oczekiwał: wszędzie liczne obławy przygotowane były.

Nadszedł dzień naznaczony, a pan hetman pożegnawszy płeć piękną, którą staraniom pani hetmanowéj poruczył, sam z gośćmi swojémi z Białegostoku do Bielska na noc wyruszył. Po sutéj wieczerzy, podczas któréj kolejny puhar po kilkakroć z rąk do rąk w koło obchodził, znużeni drogą myśliwi, do spoczynku się udali. Ucichły rozmowy i śmiéchy, gwar ustawał powoli, nastąpiło milczenie... sen zawarł powieki... Wtém piérwszy kur zapiał... odezwała się trąba myśliwska, w psiarniach psy zawyły, przebudzona drużyna krzątać się zaczęła, i nie minęła godzina, już każden w myśliwskim stroju na dzielnym siedział dzianecie.

»Moi panowie! kto nie był na podobnych łowach, albo nie słyszał opowiadania tych, którzy na nich byli, ten sobie wyobrazić nawet nie może owego zbytku, okazałości, przepychu! Wystawcie sobie całą milę ostępu, obrzuconą parkanami, których sznury zielonym jedwabiem okręcone były. Po za parkanami gęsto stała obława, pomiędzy którą co sto kroków oszczepnik w barwie hetmańskiej, z oszczepem w ręku na przekradającego źwiérza czatował. Po drogach przerzynających ostęp porozstawiano strzelców, a przy każdym znakomitym gościu oszczepnik trzymał na smyczy parę pokurczów albo brytanów. Zaledwo każden na swojém miejscu stanął, sam pan hetman w srebrną trąbkę zatrąbił na znak rozpoczęcia łowów. Odezwało się natychmiast sześć trąb dojeżdzackich, a sto swor ogarów spuszczonych w ostęp napełniony źwiérzem, zagrało. Już od godzin kilku grzmiała puszcza gonem psów, trąb odgłosem, gęstémi strzały. Wtém zatrąbiono pojezdnego, psy zaczęto wyciągać; w wybornem zaś miejscu, pod gołém niebem, przy rozpalonych ogniskach, pożywne śniadanie na myśliwych czekało.—Po śniadaniu na nowo rozpoczynało łowy, a o zachodzie słońca myśliwi na nocleg do poblizkiego zajeżdżali dworu, gdzie suta wieczerza przy hucznéj kapeli, krzepiła znużonych i sił im dodawała do następnych trudów. —Polowanie hetmańskie trwało dni trzy. Dnia ostatniego w tykocińskiéj puszczy, ponad wzniosłym brzegiem Narwi, na wzgórzu przygotowano altanę. Ostęp był otoczony parkanami, obławę puszczono we środek, ta gęsto i z hałasem idąc, gnała strwożonego źwiérza ku altanie, gdzie nie mając innego ratunku, wskakiwać musiał do rzeki, a goście do niedźwiedzi, łosi i sarn w lot lub wpław strzelali. I tak: książę Karol kurlandzki, zabił niedźwiedzia w samym skoku, a pan starosta trembowelski zawołany myśliwy, łosia i niedźwiedzia. — Tegoż samego wieczora wszyscy do Białegostoku wrócili, kędy w dzień następny obchodzić miano imieniny pani hetmanowéj.—Obchód dnia 19. listopada 1760 roku w Białymstoku, rozpoczął się od solennego nabożeństwa w parafijalnym kościele. Celebrował biskup łucki, a proboszcz miejscowy wystąpił z kazaniem zastósowaném do okoliczności. Po nabożeństwie całe zgromadzenie gości składało pani hetmanowéj powinszowania i winną attencyją. Około czwartéj z południa, nastąpiła wielka uczta. Stół był zastawiony w galeryi na 200 osób, w tym stole wzdłuż był kanał, napełniony najkosztowniejszém winem tokajskiém, co niby wyobrażało morze; po tém winie pływało 24 okręcików misternie zrobionych, na nich były pistacyje, wszelkie cukry, konfitury i rozmaite łakocie. Takowe okręty zatrzymywały się przed damami siedzącemi przy stole, które podług upodobania wybierały te przyjemne towary z okrętów. Po wetach przyniesiono ogromny puhar, który niegdyś był własnością sławnego Stefana Czarnieckiego, a goście czerpając nim owe tokajskie morze, liczne spełniali wiwaty, przy rzęsistym z armat ognia dawaniu. Po kilko-godzinnéj mowie, otworzono podwoje od tak nazwanych w białostockim pałacu paryzkich pokoi: zabrzmiała muzyka... powstał pan Herman:

Widzę cała czereda jak od stołu wstaje,
A Signor Włoch z przyciskiem kapeli znak daje,
Zagrzmiały trąby, kotły, i przez środek sali,
Pan hetman z strażnikową poloneza wali.

Satyra: »Wieczór modny.«

Po obiedzie udali się goście do ogrodu pysznie oświetlonego, kędy dały się widzieć piramidy z dowcipnémi napisami i insygnijami, gorejące w brylantowym ogniu: poczém spalonym został suty fajerwerk. Nastąpiła po nim komedyja z baletem i bal z tańcami do późna w noc trwający.«

Podkomorzy Orzeszko przestawszy mówić, powstał z miejsca; powstali i wszyscy, a on odprowadziwszy gości swoich do drzwi bawialnego pokoju, i każdemu z osobna dobréj nocy życząc, udał się do spoczynku; ogień też na kominie dogorywać zaczął, a zegar dwunastą wybił. *Leon Potocki.*

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 37. i obejmuje: 1) O rolnictwie i jego kombinacyjach, na rachubie opartych, przez Kazimiérza hr. Krasickiego. (Dokończenie). 2) O nawozie: Jak można zapobiédz brakowi nawozu, wynikłemu z niedostatku paszy? podług Wiliama Löbe 3) O hodowli bydła latem na stajni. (Ciąg dal.) 4) Jak można poznać, ażali cukier z trzciny lub buraków sfałszowany, jest cukrem krochmalowym? 5) Jedwabnictwo. 6) Wiadomości czasowe: *a*) Sposób wyléczenia koni od wolca. *b*) Czém nie zaprawiać? 7) Podziękowanie redakcyi *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* Wysokim Stanom za 500 złr. mon. konw., danych jej na wsparcie tegoż pisma.

Dziennika mód paryskich wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 19. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Zamek w Normandyi, zdarzenie prawdziwe (Ciąg dalszy). 2) Rys obyczajowy, przez W. O. z M.

Nakładem Jana Milikowskiego wyszedł właśnie: *Wianek powinszowań i wpisów imionnikowych wybranych z najlepszych pisarzów polskich i francuzkich.* Drukiem J. P. Sollingiera w Wiédniu 1844 w 12. str. 231. Dziełko to z powodu troskliwego doboru i znacznéj ilości zawartych w niém powinszowań wierszem w polskim i francuzkim języku oraz ozdobnego wydania, ze wszech miar pożądane dla młodzieży, zasługuje słusznie na piérwszeństwo przed wydanémi niedawno w Bochni jałowémi i tuzinkowémi najnowszémi powinszowaniami.

(x.)

Nadzwyczajna starożytność rośliny. Dziennik Merkury kaledoński, donosi o następującym ciekawym wypadku: Gdy w roku 1838 w muzeum brytońskiem rozwijano egipską mumiję, która jak się pokazało, miała przeszło 3000 lat, znaleziono pomiędzy licznémi płóciennémi zwojami, opasującémi ciało zmarłego, także kilka kłosów pszenicznych. Hrabia Haddington pozyskawszy cząstkę téj pszenicy w mumii przechowanéj, udzielił jéj nieco swemu ogrodnikowi panu Ford, który z niéj cztéry ziarn w ogrodzie w Tynninghane dnia 1go listopada 1842 r. posiał.— Zeszłego miesiąca zebrał on około 100 ździebł do sześciu stóp wysokich; każdy kłos takowego ździebła obejmował 45 do 55 ziarn i miał włosy podobne do jęczmienia, listki zaś u ździebeł były długie i na cal szérokie.

Dochody francuzkiéj poczty. Dochody pocztowe we Francyi ciągle się pomnażają. R. 1627, gdy jeszcze cała służba pocztowa kosztem kraju była podejmowaną, czynił dochód z takowéj 1,200,000 liwrów.; roku 1709 powiększył się takowy na 3 milijony, r. 1751 na 5 milijonów, a w roku 1788 na 12 milijonów. — Dochody więc w przeciągu 112 lat pomnożyły się więcéj niż o dziesięć razy; roku 1819 albowiem wynosił dochód 22 milijonów, w roku 1830 zaś 33,768,650 franków, a na rok 1843 podają cały dochód na 48,395,000 franków. — Liczba służby do oddawania i odbierania na poczcie w samym Paryżu wynosi 895 osób, pomiędzy którémi 419 samych listonoszów liczą.

W departamentach jest 3101 osób pełniących służbę przy poczcie, nie licząc w to posłańców i 350 kuryjerów pocztowych.

Odszukane pisma Galileusza. Na posiedzeniu francuzkiéj akademii dnia 24go lipca, doniósł pan Alberti, iż pomiędzy rękopisami sławnego astronoma Galileusza, które zebrano do zupełnego wydania jego dzieł w Florencyi drukować się mających, znajdują się także rozprawy o satellitach Jowisza, od dwóch wieków już za zatracone poczytywane.

Plan do ogrodu zimowego w Paryżu. W téj chwili krąży pomiędzy kapitalistami plan do utworzenia towarzystwa akcyjonaryjuszów, któreby złożywszy kapitał zakładowy 25 milijonów franków, wzięło się do założenia ogrodu zimowego w Paryżu. To czarodziejskie dzieło ma powstać między polami elizejskiémi a główną ulicą przedmieścia St. Honoré, w kształcie *Palais-Royal*. Według zarysu planu, ogród ten ma być zaopatrzony samémi zagranicznémi roślinami, kwiatami i krzewami, i sposobem sztucznym ogrzéwany. W około parkanu mają być założone kawiarnie, kramy, restauratornie, czytelnie, kąpiele, teatr, przezcoby zatrzymano w czasie zimy tysiące bogaczów w Paryżu, ktorzy do téj chwili przed śniegami uciekają pod łagodne niebo włoskie do Nizzy, Pizzy, Neapolu, Malty.

Fabrykacyja koronek w Belgii. Wartość koronek wyrabianych rocznie w Belgii, dochodzi sumy 12 milijonów franków. Roku 1842 wyprowadzono za 1,257,112 franków, a zatém nierównie więcéj jak w r. 1841, w którym za 1,153,486 franków wywieziono a zwłaszcza w r. 1840, w którym wywóz zaledwie 77,526 fr. wynosił. Belgijskie koronki wyprowadzane bywają do Niemiec, Francyi, Anglii, Holandyi, Rossyi i t. d. Zręczna robotnica koronek, może sobie w przeciągu 16 godzin 2 franki 50 centymów (to jest 1 złr. m. k.) zarobić; w niektórych miejscach i mężczyźni tą robotą się zajmują. Cała wartość koronek zawisła szczególniéj od roboty, bo chociaż nici do takowych używane nadzwyczaj są drogie, to mała tylko ich ilość na koronki wychodzi. W Rebecq-Rognon, kręcono nieraz nici, których funt po kilka tysięcy franków sprzedawano. Koronki wyrabiane w Malines, których metr 12 franków kosztuje, w porównaniu z bruxelskiémi, nierównie są podlejsze; nici bowiem do takowych płacą tylko po 1 1/2 do 2 franków, resztę nadwyżki stanowi płaca za robotę i zysk sprzedającego. Od niejakiegoś czasu używają do korónek także nici z angielskiéj bawełny. Oszukanie to, które do razu nie łatwo poznać można, używane jest nietylko z powodu większéj tanności tegoż materyjału, lecz mianowicie dla tego, iż nić bawełniana nierównie prędzéj obrabiać się daje a niżeli lniana, bo się nie rwie tak łatwo. Obstalunki na koronki w Belgii, częstokroć są tak znaczne, iż nie zawsze wszystkie mogą być uskutecznione. Koronki słynne pod nazwą bruxelskich, nigdzie tak doskonale wyrabiane nie bywają, jak w saméj Bruxeli; robione zaś w Binche najwięcéj się do bruxelskich zbliżają. Koronki wyrabiane w Brügge, Gandawie, Ypern i t. d. znaczny mają odbyt zwłaszcza do Francyi, gdzie słyną pod nazwą walensyjskich. Samych kobiet dziergających koronki, liczą w Belgii do 6000; liczba ta coraz bardziéj się pomnaża, mianowicie w zachodniéj Flandryi, gdzie owa gałęź przemysłowości dawniej prawie zupełnie była nieznaną a gdzie obecnie już jest 89 zakładów, w których się dziewczęta dzierganiа koronek uczą. W wschodniéj Flandryi jest już 26 takich szkół uczęszczanych od 1970 dziewcząt. Wszystkiémi témi szkołami roboczémi zarządzają bractwa duchowne lub téż damy towarzystwa dobroczynności. W Antwerpii jest wzorowa szkoła tego rodzaju, w któréj 252 uczennic wykształcanych bywa na najzręczniejsze robotnice od dwunastu nauczycielek.

Centralizacyja. Sławny badacz przyrody Laplace, żalił się przed panem Cretet ministrem spraw wewnętrznych na to, że znakomitego botanika Decandolle jako nauczyciela do szkół w Montpellier wysłano, podczas gdy Instytut (akademija paryska) życzył sobie mieć go w swoim gronie. »Ej do licha! dajcież mi pokój z waszym Instytutem!« odrzekł minister. »Nieraz sobie życzyłem, aby kula działowa między was wpadła i po całéj Francyi rozprószyła! Nie jestżeto nieszczęściem, że wszystko światło w Paryżu się zgromadza, a po departamentach gruba ciemność panuje?«

Morderstwo i odwet. Dziennik *Echo de l'Orient* umieścił wiadomość o następującym krwawym wypadku. Łódź kiérowana przez dwóch wioślarzy, mająca na swoim pokładzie małego chłopca, cztérech podróżnych, to jest: Francuza młodego ze Smyrny, greckiego kupczyka i dwóch Turków w broń zaopatrzonych, płynęła z wyspy Mitilene do Aiwali. Zaledwie przebyła połowę drogi i właśnie wtedy, kiedy Francuz i Grek dla wielkiego upału rozpościerali swoje słońco-chrony, jeden z Turków daje spiesznie raz po razu ognia z dwóch pistoletów; piérwszym wystrzałem druzgocze Francuzowi stawy u prawéj ręki, a drugim ugadza w to miejsce, gdzie wątroba. W tymże samym czasie drugi Turek rani śmiertelnie Greka wystrzałem, i rzuciwszy się na jednego z wioślarzy, morduje go jataganem. Francuz lubo śmiertelnie raniony, drogo przedaje mordercom życie swoje. Z wściekłością rzuca się na nędzników i ciska swego mordercę w morze, w téjże samej chwili ośmielony drugi wioślarz, schwyciwszy hak okrętowy, strąca nim drugiego złoczyńcę w wodę. W dziesięć minut potém kona Francuz, dawszy wioślarzowi piérścień z swego palca na pamiątkę dla swojéj rodziny w Smyrnie. Na pokładzie łodzi były dwa worki napełnione hiszpańskiemi piastrami, któreto pieniądze Turcy pozbywszy się swoich przeciwników, zabrać chcieli. Wioślarz z chłopcem i ranionym śmiertelnie Grekiem, przypłynęli z wielką trudnością do Aiwali, gdzie tę okropną scenę przed sądem opowiedzieli.

Przestroga dla pijaków. Tomasz Sawell, doktor medycyny i profesor w Kolumbii (w państwach Zjednoczonych Ameryki północnéj), gorliwy członek towarzystw wstrzemięźliwości, wydał w rycinach kolorowane wyobrażenie żołądka, jak tenże wewnątrz u miernych pijaków, opojów i nałogowych pijanic wygląda, w wielkim formacie, z następującym podpisem dużémi czcionkami: »Patrzcie pijacy! co się dziać będzie z waszym żołądkiem, jeżeli pić nie poprzestaniecie!« Zwolennicy wstrzemięźliwości kazali takie obrazy żołądka poprzybijać po szynkach, obecnie donoszą, że takowe na wielu pijakach mocne sprawiły wrażenie. Podczas uroczystych obchodów amerykańskich towarzystw wstrzemięźliwości w miesiącu lutym r. b., obnoszono i pokazywano publicznie takowe obrazy. Osnabryckie towarzystwo wstrzemięźliwości, kazało téż same wyobrażenia żołądków wylitografować, i rozesłało je w kilku tysiącach egzemplarzy po Niemczech, jako okładkę przyłączoną do wezwania wszystkich przyjaciół ludzkości.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców **Franciszka Krattera.**
Drukiem Piotra Pillera.